

Bezpiecznie na Śnieżkę?

Ponieważ w ostatnim okresie mnożą się przypadki wzywania pomocy przez turystów, których warunki panujące w górach przerosły, postanowiłem sprawdzić jak naprawdę wygląda trasa na Śnieżkę. Czy jest ona do przejścia dla przeciętnego turysty, który przebywa pod Karkonoszami na wypoczynku. Wiadomo wczasowicze widząc z okien kwater piękne białe zbocza chcą tam ruszyć. Nie zastanawiają się jednak, że nie są do tego właściwie przygotowani. Myślą, że Karkonosze to małe góry, a Karkonoski Park Narodowy to zwykły park, po którym można spacerować bez wysiłku i ryzyka. Tak jednak nie jest. Karkonosze to co prawda góry nie przekraczające, poza Śnieżką, 1600 metrów, ale są to góry położone w strefie subalpejskiej. Co to znaczy? Ano tyle, że można je przyrównać do Alp, które mają ponad 4 tysiące metrów n. p. m. Czasami jednak warunki z jakimi przychodzi nam się zmierzyć w Karkonoszach są znacznie gorsze niż we wspomnianych Alpach. Ale o tym wiedzą tylko ludzie chodzący po górach od lat. Przeciętny turysta tego nie wie, bo i skąd. Ba, przeciętny turysta nie wie jak należy się przygotować do wyjścia w góry, jak się ubrać, jakie założyć obuwie, co zabrać z sobą. Najczęściej nie zabiera z sobą mapy – takiej prawdziwej, papierowej. Uważa, że wszystko co potrzebne ma w telefonie. I tu niestety myli się. Bo mapy elektroniczne, pomijając jak często są aktualizowane, nie do końca są dokładne. Niestety w terenach górskich ta niedokładność wzrasta. A trzeba wiedzieć, że zejście ze szlaku nawet o kilka metrów, zwłaszcza w okresie zimowym, może skutkować zgubieniem się. I wtedy taka osoba nie da sobie rady sama. Dlatego najważniejszym jest mieć wgraną w telefonie aplikację RATUNEK. Jest to aplikacja bezpłatna, dzięki której w razie wysłania sygnału ratownik, który odbierze takie zgłoszenie, od razu widzi na komputerze miejsce naszego pobytu. Nie muszę chyba nikogo przekonywać jak ważna jest dokładna lokalizacja. Często bowiem wystarczy tylko rozmowa z ratownikiem, który naprowadzi zbłąkanego turystę na właściwą drogę. Ale w razie prawdziwego zagrożenia życia dokładna lokalizacja skraca czas dotarcia do poszkodowanego, którego życie w warunkach górskich często zależy właśnie od czasu dotarcia do niego. Należy w tym wszystkim pamiętać tylko o bardzo istotnej sprawie, w warunkach zimowych baterie rozładują się znacznie szybciej niż w lecie. Dlatego licząc na elektronikę powinno się uwzględnić jakieś dodatkowe źródło zasilania.



Foto: Krzysztof Tęcza

Dosyć jednak tego wstępu. Niestety w ostatnim czasie nasi ratownicy wiele razy musieli wychodzić w góry na akcje, które w ogóle nie powinny mieć miejsca. Dlatego postanowiłem sprawdzić jakie panują obecnie warunki na podejściu na Śnieżkę i czy trasa ta jest bezpieczna.

Pierwsze co zrobiłem to umówiłem się ze znajomym tak by nie wychodzić w góry samemu. Po drugie dokładnie przemyślałem którądy pójść i jaki zabrać z sobą ekwipunek. Muszę tu wyjaśnić, że po górach chodzę praktycznie całe życie (bywały lata, że w górach spędzałem do 350 dni), dlatego też niejednokrotnie przeżyłem warunki atmosferyczne tak ciężkie, że kilka razy ledwie uszedłem z życiem.

Teraz jednak, bogatszy o doświadczenia, staram się bez potrzeby nie ryzykować zdrowia czy życia. Staram się organizować wyjścia w góry tak by bezpiecznie dotrzeć do założonego celu i bezpiecznie wrócić do domu. To jest najważniejsze. Oczywiście pogody, mimo że mamy różne programy informacyjne, nie da się do końca przewidzieć. Dlatego też czasami możemy zostać zaskoczeni i wtedy musimy podejmować odpowiednie decyzje jak uchronić siebie i towarzyszących nam ludzi. Czasami będzie trzeba podjąć decyzję o odwrocie, i nie ma co się wtedy opierać przed takim postawieniem sprawy. To żaden wstyd zawrócić.



Foto: Krzysztof Tęcza

Po ustaleniu trasy, we wtorek 29 stycznia 2019 roku o godzinie 4.30 dotarliśmy do Karpacza. Było jeszcze ciemno. Na wszelki wypadek oprócz zostawienia informacji o naszym wyjściu w domu zadzwoniłem też do znajomego ratownika by w razie naszej przedłużającej się nieobecności sprawdził co się z nami dzieje.

Ponieważ przy wyciągu nie widać było lodu na razie pozostawiliśmy raki w plecakach. Było na tyle ciepło, że zdjęliśmy po jednej kurtce. Powiem, że początkowo miałem założyć kurtkę syberyjską ale doszedłem do wniosku, że temperatura panująca w tym dniu pozwoliła na zwyczajowe ubranie się na cebulkę. Wygląda to tak, że na bieliznę termoaktywną zakładam się ciepłe spodnie z ochraniaczami chroniącymi przed wsypywaniem się śniegu do butów. Na górę założyłem bezrękawnik, kurtkę z kapturem i drugą puchową. Do tego cienkie rękawice, czapkę i ochraniacz na szyję. Aby ułatwić sobie podejście i zapewnić równowagę wzięłem kijki. Kiedyś ich nie używałem ale od czasu gdy

użyłem je po raz pierwszy podczas mojej wyprawy na Kilimanjaro, stwierdziłem, że to bardzo przydatna rzecz.

Raźno ruszyliśmy Ślaską Droga. Jak się okazało, trasa była bardzo wydeptana przez turystów chodzących tutaj w poprzednich dniach. Chociaż wierzchem leżała cienka warstwa świeżego puchu. Na razie nam to nie przeszkadzało. Szliśmy miarowym, spokojnym krokiem, bez zbędnego pośpiechu według zasady: wolniej idziesz – dalej zajdziesz. Tu na dole nie było wiatru. Może dlatego, że z obu stron drogę zasłaniają wysokie drzewa. Gdy minęliśmy trasę zjazdową najpierw usłyszeliśmy lekki szum a po chwili poculiśmy na twarzach powiew wiatru. Wyglądało na to, że w miarę wspinania się wiatr będzie przybierał na sile.

Tak też było. Najgorszym w tym momencie była ciemność. Mimo, iż śnieg z reguły daje poświatę umożliwiającą chodzenie bez sztucznego światła to tym razem zrobiło się zbyt ciemno. Dlatego założyłem czołówkę i wspomagalem swoim światłem kolegę, który używał jej od samego początku. Było fajnie, nie pociliśmy się, nie było tłoku. Ba, nie było nikogo. Na szlaku byliśmy tylko my.



Foto: Krzysztof Tęcza

W pewnym momencie widzimy tablicę informacyjną ustawioną przez Park. Niestety śniegu nasypało tyle, że ledwo wystawała spod niego. Nieco dalej zauważyliśmy tablice z zakazem przejścia. Był tam znak informujący o zagrożeniu lawinowym. Nic w tym dziwnego, przecież to tutaj w 1968 roku lawina pochłonęła 19 istnień ludzkich. Ja wiem, że to bardzo dawno temu jednak lawiny, nawet podobnej wielkości, schodzą tutaj praktycznie każdej zimy. To takie miejsce. Nawiewany górą wiatr tworzy taki nawis, że kiedyś musi on się uwolnić i zejść w dół do Białego Jaru.

Przed nami najbardziej wymagający odcinek drogi. Ile razy jestem tutaj w zimie to właśnie na tych kilkuset metrach przed miejscem ustawienia pomnika upamiętniającego ofiary wspomnianej lawiny, wkładam największy wysiłek w podejściu. Jest to takie miejsce, w którym w wycince wśród drzew poprowadzono nową drogę, zastępując starą prowadzącą trasą zejścia lawin. Poprawiło to bezpieczeństwo ale wiejące tu wiatry doprowadzają do powstawania zasp tak stromych, że trudno przez nie przejść nawet na czworaka. I to wtedy kiedy nie ma tam oblodzenia. Bo gdy wytworzy się

Łódź bez raków nie ma szans. Trzeba także uważać by nie zejść z wąskiego udeptanego paska gdyż od razu wpadniemy po pas w kopny śnieg i będziemy mieli poważne trudności by wydostać się z niego.

Tym razem udało nam się przejść w miarę spokojnie. Tyle tylko, że zajęło nam to dwukrotnie więcej czasu. Ale oto jesteśmy na zakręcie w Białym Jarze. Szukamy pomnika. Niestety nigdzie go nie widać. Okazało się, że wybór miejsca jego usytuowania podyktowany obawą by nie został znowu porwany przez lawinę tak jak poprzedni, był słuszny. Jednak sposób jego usadowienia doprowadza do całkowitego zasypania go śniegiem. Tak więc aby go zobaczyć musimy poczekać do wiosny.

Robimy tutaj pierwszą krótką przerwę. Pijemy coś ciepłego i ruszamy dalej. Szybko okazuje się, że prowadząca tędy droga także znikła pod śniegiem. I nie jest to warstwa zwykłego puchu. Widać, że śniegu jest tu przynajmniej metr, dwa. Miejscami tworzą się metrowe zaspy. Trzeba bardzo uważać by nie zejść ze zbocza, a niestety gdy idziemy z boczem naturalnym jest, że ściąga nas w dół. Wiatr wciąż się wzmaga. Widzimy, że przed nami nie ma nic. Nasza droga gdzieś znikła. Okazuje się, że wysokie tyczki jakie stosuje się do znakowania szlaków w okresie zimowym albo gdzieś znikły albo ich nie ustawiono na tym odcinku. A jest to na tyle długi odcinek, że praktycznie turysta nie znający Karkonoszy, nie ma szans by utrzymać właściwy kierunek. Dobrze, że my znamy drogę i trzymamy się określonego kierunku. Sytuacja jest zła także z powodu silnej sianej mgły jaka towarzyszy nam od zakrętu. Nasze tempo marszu znacznie spadło. Idziemy coraz wolniej ale inaczej się nie da. W końcu widzimy jakiś błysk – to lampa na budynku górnej stacji wyciągu na Kopę. Schodzimy w tamtą stronę i zatrzymujemy się w małej wiacie zasłaniającej wejście do środka. W szybie widzimy wielką kartkę z napisem „Kurtki deszczowe – tylko 12 zł”. Od razu zrobiło się nam raźniej.



Foto: Krzysztof Tęcza

Było tak zimno, że postanowiliśmy założyć dodatkowe odzienie. Pod kurtkę dorzuciłem jeszcze grubego sweter. Teraz łyk ciepłego napoju z termosu, coś na przegryzkę, i ruszamy dalej. Czasowo nie jest źle, wciąż mamy szansę zdążyć na wschód słońca. No tak, nie wspominałem wcześniej o tym. Chcemy zobaczyć jak wygląda zimną wschód słońca na Śnieżce.

Idziemy w stronę Równi pod Śnieżką. Jeszcze jest zbyt ciemno by cokolwiek dostrzec. Tym bardziej, że mgła dalej nie ustępuje. Teraz jednak idziemy wytyczoną „autostradą”. Dobrze, że jeżdżący tędy

ratrak jechał jakiś czas temu bo często po jego przejeździe nie idzie iść po śladach jakie on zostawia. Tym razem jest fajnie. Powolutku mijamy skrzyżowanie ze szlakiem prowadzącym w kierunku Spalonej Strażnicy i wreszcie widzimy jakieś światełko.

Jesteśmy przy schronisku na Równi pod Śnieżką. Oczywiście samego szczytu jeszcze nie widać. Mamy wciąż noc. Postanawiamy nieco odpocząć. Trzeba nabrać sił przed atakiem szczytowym, no i przygotować się do niego. Schodzimy do tylnego wejścia, którym wchodzimy do budynku. Jak to dobrze, że obsługa schroniska pozostawia na noc możliwość wejścia i zagrzenia się. To bardzo dobry zwyczaj w górach. Idziemy do pomieszczenia, w którym można przytulić się do kaloryfera. Od razu czujemy przyptyw sił. Staramy zachowywać się jak najciszej bo w schronisku mogą przebywać goście, którzy chcieliby jeszcze trochę pospać.

Teraz konkretny posiłek i zakładam kolejną kurtkę. Tam u góry będzie wiało. Warto się do tego przygotować tutaj a nie kombinować na wietrze. Ponieważ spodziewamy się trudnych warunków na podejściu zakładamy raki. Oczywiście czynimy to na samym końcu wychodząc ze schroniska. Chodzi o to by nie poniszczyć podłóg.



Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy wychodzimy na dwór jest już jasno. Niestety nie widać jeszcze zbyt daleko ale nie musimy już używać czołówek. Wchodzimy pomiędzy łańcuchy i docieramy do szlabanu zamykającego Drogę Jubileuszową. Niektórzy dziwią się dlaczego na zimę jest zamykana ona a nie Zakosy. Wytłumaczenie jest bardzo proste. Właśnie ta droga, chociaż wydawałoby się inaczej, jest bardziej niebezpieczna. To na niej częściej dochodziło do wypadków. Dlatego idziemy Zakosami. Od razu widzimy niesamowite formy utworzone przez mróz i wiejący wiatr. Wszystkie słupki i łańcuchy są obrośnięte szadzią. Wygląda to tak jakbyśmy weszli w bajkowy świat. Ale tylko wygląda. Od razu czujemy jak wiatr się wzmacnia. Najgorsze, że niesie kolorowe szpilki z lodu, które wbijają się nam w policzki. Dobrze, że wychodząc ze schroniska założyłem jeszcze jedną kurtkę i grubą kominiarkę. Trochę osłania mi buzię przed tymi szpilkami.

Gdy tylko zaczynamy pięć się pod górę wiemy, że raki to było bardzo dobre posunięcie. Nie, nie ma czystego lodu, ale powierzchnia śniegu jest na tyle śliska, że w samych butach mielibyśmy olbrzymie

trudności z utrzymaniem równowagi. A tak spokojnie idziemy małutkimi kroczkami. Po przejściu pierwszych zakosów okazuje się, że łańcuch został przysypany śniegiem i przed niczym nie chroni. W razie upadku nie ma się czego złapać. Wiele razy postulowałem by na zimę dokładać słupki z dodatkową jedną albo dwoma warstwami łańcucha – niestety jak na razie moja sugestia nie jest brana pod uwagę.

Gdy tak pniemy się powolutku w górę dostrzegamy jakiś cień, kontur czegoś dużego. Po kilkunastu krokach dostrzegamy zarys spodka. Nareszcie jesteśmy na szczycie. Niestety minęła 8 i spóźniliśmy się na wschód słońca. Nie martwi nas to jednak gdyż w dalszym ciągu panująca mgła i tak nie pozwoliłaby nam nic dojrzeć. Próbuje zrobić jakieś zdjęcia. Wszystkie budynki są tak obrosnięte, że wyglądają jak wielkie bałwany. Jak do tej pory nie spotkaliśmy na swojej drodze ani jednej osoby. A tu w zaciszu tylnego wejścia do obserwatorium meteorologicznego widzimy dwie osoby. Podchodzimy by się przywitać. To Czesi, którzy przyszli tutaj z drugiej strony. Teraz chcą zejść na Równię. Niestety rakiety im w tym nie pomogą. Przytraczą je do plecaków i ruszają w dół. My także. Nie ma co dłużej przy takiej pogodzie przebywać na szczycie, na którym, mimo iż jest tak wiele obiektów, nie ma się gdzie schować. Przykre to ale prawdziwe.



Foto: Krzysztof Tęcza

Schodząc na dół zobaczyliśmy, że my także zmieniliśmy się w białe bałwanki. Zarówno nasze ubranie jak i sprzęt pokryte są szadzią. Jesteśmy cali biali. To nic, gdy tylko będziemy schodzić wszystko powinno topnieć. Czesi mijają nas wchodząc daleko poza ścieżkę. Ich obuwie nie zapewnia im specjalnego bezpieczeństwa. My, dzięki założeniu raków, możemy iść w miarę bezpiecznie. Nasze nogi nie ślizgają się. Kroki stawiamy pewnie, bez obawy. Chociaż już wkrótce przekonałem się, że pozory bezpieczeństwa często mylą. Otóż dawno nie chodziłem w takich warunkach i zapomniałem zdjąć okulary, które nie tylko zaparowały ale i przymarzły. Dlatego nie widziałem muld czy rowków w śniegu. W pewnym momencie noga wpadła mi w taki dołek i tylne kolce zostając w śniegu doprowadziły do upadku. Poleciałem jak długi ratując się kijkami. Na szczęście skierowałem ciało w lewo i upadłem przed łańcuchami, które oczywiście w tym miejscu były pod śniegiem. Tak więc miałem dowód na to, że w zimę istniejące łańcuchy nie dają gwarancji bezpieczeństwa. W zasadzie przy takiej ilości śniegu nie dają żadnego zabezpieczenia. Może jednak warto pomyśleć o ich podniesieniu.

Reszta drogi do schroniska upłynęła nam już bez przygód. Powolutku dotarliśmy na Równię. Widząc naszych Czechów stojących przed jeszcze zamkniętymi drzwiami do schroniska postanowiliśmy nie zatrzymywać się. Doszliśmy na wysokość wyciągu na Kopę i wzdłuż tyczek dotarliśmy do Białego Jaru. Sprawdziliśmy – faktycznie pod koniec trasy przydałoby się dostawić kilka tyczek.

W Białym Jarze spotkała nas niespodzianka. Spotkaliśmy czterech turystów idących pod górę. Nareszcie zaczyna się jakiś ruch. Pogadaliśmy z nimi, powiedzieliśmy jak wyglądają warunki na trasie i ruszyliśmy dalej. Znowu szliśmy tym ciężkim zejściem prowadzącym nad miejscem schodzenia lawin. Było tam już zupełnie widno i ustąpiła mgła. Dzięki temu dostrzegliśmy coś dziwnego i zaskakującego. Otóż poniżej nas czyli dokładnie tam gdzie jest zakaz wejścia, w miejscu które jest oznakowane jako miejsce schodzenia lawin, widać ślady nart i butów. Świadczy to o tym, że ludzie niewiele sobie robią z zakazów i mają za nic bezpieczeństwo. Przykre jest to o tyle, że nie myślą, iż narażają nie tylko swoje życie, ale życie ratowników którzy pospieszą im z pomocą.

Teraz zaczęli mijać nas kolejni spacerowicze. Wygląda, że w Karpaczu jest już po śniadaniu. Faktycznie dochodzi 11. Pora na podsumowanie. Dzisiejsza trasa nie była najcięższa ale i nie była łatwa, zwłaszcza dla przeciętnych turystów. My sprawdziliśmy, że można bezpiecznie wejść na Śnieżkę i zejść na dół do Karpacza.

Krzysztof Tęcza